Nr. 24. **Rok II.**

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 15 czerwca 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.



O publicznéj i literackiéj działalności JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO

przez

Leopolda Winklera.

(Dalszy ciąg).

Pisze Juljan Klaczko: „Korzeniowski nie obiecywał w utworach swych dramatycznych ani Shakespeara, ani Schillera, okazał jednak talent niezwykły.“

Na to odpowiem: Dla czegożby nie miał na tém polu dojść do wyższego szczebla? Takie próby, jak Mnich, Andrzéj Batory, Karpaccy Górale i inne, okazały bardzo wiele zdolności i dawały nadzieję, że gdyby Korzeniowski nie opuszczał pola dramatycznego, mógłby otrzymać chlubniejszy sąd w krytyce literackiéj i zamiast nazywać się Szekspirem polskim, możeby zszedł z pola naśladownictwa i stworzył dramat narodowy. Do tego potrzeba było innych okoliczności, a przedewszystkiém Polski wolnéj, niepodległéj, w któréj pisząc, jak natchnienie dyktowało z zupełną swobodą i nieoglądaniem się na cenzurę, można było stanąć na wysokości, do któréj wznieść się mógł był, tak wielkich zdolności pisarz, jakim był Józef Korzeniowski.

Zgadzam się z szanownym krytykiem, że nadzieje większych zysków mogły w pewnéj części skłonić Józefa Korzeniowskiego do opuszczenia sceny dla feletonu, do rzucenia poezji dla prozy. Lecz nie ta wyłącznie przyczyna popchnęła go na taką drogę. — Porzucił dramat dla powieści, bo nie widział powodzenia na polu dramatyczném; bo tylko jedna scena w tym czasie mogła przyzwoicie dać poznać publiczności jego płody dramatyczne, to jest warszawska. Ta zaś pod kierunkiem oberpolicmajstra Abramowicza chętniéj dawała pierwszeństwo lekkim komedyjkom i farsom francuzkim, niż dramatowi, który usposabiał poważnie głowy i serca publiczności.

Czyniono więc największe trudności poważnemu pisarzowi. Cenzura prowadziła z nim ustawiczną wojnę. — Korzeniowski za wiele miał poczucia godności osobistéj, żeby pozwolił pierwszemu lepszemu cenzorowi, jak nauczycielowi poprawiającemu ćwiczenie uczniowi, mazać, przeinaczać swoje utwory dramatyczne i przedstawiać publiczności koszlawe płody, autorem których już nie on, lecz właściwie byłaby cenzura warszawska.

Przypatrzmy się teraz najważniejszym zarzutom krytyki, którą spowodowała osławiona powieść „Krewni.“

Treść téj powieści wszystkim nam zapewne jest znaną, nie będziemy więc jéj przypominać, a tylko rozważmy, ile w krytyce jest słuszności.

Zgadzam się zupełnie z krytykiem, że przedstawiając nam dwóch bohaterów głównych tego romansu Eugenjusza i brata jego Ignacego, napróżno usiłuje nas autor przekonać o wyższości umysłowéj pierwszego, umieszczając na dowód korespondencje jego z Rzymu i Paryża, które podług mego zdania dowodzą, że Eugenjusz nieźle pisał po polsku, czysto, stylem gładkim, ale, żeby miał okazać poetycką naturę, świetną wyobraźnię i genjalne przymioty, tego w istocie dopatrzyć się nie możemy. I owszém powiem otwarcie, że Eugenjusz jak wszyscy z małemi wyjątkami bohaterowie Korzeniowskiego, są bardzo słabemi postaciami, nie mogącemi wytrzymać porównania z jego niepospolitemi typami bohaterek. — Rzeczywiście kobiéty z silną duszą, szlachetném sercem i rozumem, z pod pióra Józefa Korzeniowskiego wychodzą takiemi olbrzymami, że stanowcze

zwycięztwo nad jego bohaterami męzkimi odnoszą. — Powtarzam raz jeszcze, są wyjątki, o których należy wspomnieć, bo jest o nich wiele do powiedzenia.

Pierwszym zaraz jest brat Eugenjusza Ignacy. Jakaż ogromna różnica między braćmi? O ile żal nam słabego Eugenjusza, nawykłego do wygód, doświadczanych z łaski pańskiéj, o tyle uwielbiamy jego brata Ignacego, który przyszedłszy do wieku młodzieńczego, śmiało puszcza się w świat, ufa we własne siły i w nich szuka zawsze rady w najtrudniejszych okolicznościach. A gdy te zmuszają go w ostateczności żądać pomocy Pana, z jakąż czyni to godnością osobistą i wiarą, że się uiści z długu — i dotrzymuje słowa i wychodzi czysto z chwil ciężkiéj próby i staje na własnych nogach, o własnych siłach, nie popełniwszy żadnego grzechu, nietylko czynem, ale nie pozwoliwszy nawet przystępu płochéj myśli, którąby go na drogę fałszywą wprowadzić miała. Winszujemy Korzeniowskiemu jego bohatera i żałujemy, że tak mało podobnych mu nietylko w jego powieściach, ale i w całéj naszéj powieściowéj literaturze spotkać możemy. Taka młodzież stanowi podstawę społeczności, na takiéj ona stoi i szczyci się nią, jako potęgą, gotową do walki z przeciwnościami, na których nam nie zbywa. Z innéj strony taka młodzież jest jedyną nadzieją narodu cierpiącego w niewoli; bo tylko taka młodzież porwać kajdany i wrócić narodowi wolność jest zdolną.

Nie mogę więc tu zgodzić się z krytyką, przyznającą wprawdzie niektóre zalety uczniowi, a potem czeladnikowi stolarskiemu, ale tak słabe, tak poziome, wcale nie harmonizujące z tą olbrzymią postacią, którą z niepospolitym talentem odmalował Józef Korzeniowski. — Krytyk, mając głównie przed sobą obraz Ignacego, tak mówi: „Czegoż właściwie chciał dowieść pan Korzeniowski swojém dziełem; jakąż z jego bajki mamy wyciągnąć naukę?... Czy tę, że hebel lepszy jest od pióra i pędzla, że rzemiosło wyższe od sztuki?“ — Nie zdaje mi się, żeby taki był cel autora. Przypatrzmy się lepiéj postaci Ignacego, a dopatrzymy wyższych celów, mogących wpłynąć na ogromną reformę w naszém społeczeństwie, od któréj niezaprzeczenie przyszła pomyślność kraju zależy, w któréj znaleść możemy tę dźwignię, a potém potęgę, mającą ojczyznę naszą wydobyć z położenia, w które popadliśmy, z powodu właśnie, że tego celu nikt nam dawniéj tak praktycznie nie wskazał i na właściwą, najszybciéj do niego wiodącą drogę, nie wprowadził.

Hebel nie jest lepszy od pióra, to prawda! lecz jakiego? od pióra wpływowego pisarza, uczonego historyka, genjalnego poety, rozumnego filozofa; lecz niezawodnie jest zawsze lepszy od pióra carskiego urzędnika, machiny ślepéj, posłusznéj, przelewającéj na papier wyrazy, same nieszczęścia krajowi zwiastujące. Tak widać myślał Korzeniowski, bo wystawił bohatera, który po skończeniu szkół wszedł do bióra jednéj z komisji rządowych, a rozważywszy, że ta droga do niczego innego go nie doprowadzi, jak tylko do zależności, płaszczenia się, a nareszcie do popełnienia może zbrodni względem współrodaków, do zdrady ojczyzny, zamienił pióro na hebel poczciwy, nie mogący krzywdy żadnéj nikomu przynieść, a dający chleb powszedni spokojny, który z czystem sumieniem pożywa się i który pozwala śmiało każdemu spojrzeć w oczy, z czołem pogodném.

Tego także nigdzie dopatrzyć się nie możemy w powieści „Krewni“, żeby autor chciał dowieść wyższości rzemiosła od sztuki.

A w innéj powieści swéj, n. p. w „Garbatym“, autor odmalował nam szlachetną i sympatyczną postać garbatego artysty, gdzie, o ile tylko umiał, bez przesady, podzielił się z czytelnikami swym sądem o sztuce, nie stawiając jéj niżéj od rzemiosła.

A jeśli krytyk w Ignacym, w téj postaci wzniosłéj, niestety wówczas idealnéj, nie chciał niczego więcéj dopatrzyć się, jak zimnego rozsądku i rozwagi, że jako urzędnik, nie prędko dojdzie do wysokiego stanowiska i gdyby miał majątek ziemski, wystarczający na wszystkie wygody, nie byłby zamieniał pierwszéj lub drugiéj pozycji na rzemiosło; — dla czegożbym nie pozwolił sobie, przypisując autorowi wyższe cele, podnieść tę postać, którą Korzeniowski przedstawiając, może chciał otworzyć oczy młodzieży naszéj, kończącéj szkoły, zabijającéj potém wszelką zdrową myśl i w konieczném następstwie przyrodzone Polakom zdolności w biurach rządowych*). Przeciwnie, rzuciwszy się jak Ignacy do rzemiosła, a inni do handlu i przemysłu, dźwignęliby kraj z upadku materjalnego, wzbogaciliby siebie samych, nie zaś cudzoziemców i powoli podnieśliby ten stan, którego nam brak niestety, t. j. stan średni.

Tu nie mogę milczeniem ukryć mego zadziwienia, że krytyce nie podobała się i postać hrabiego Adama, człowieka bogatego i używającego dobrze majątku, bo za jego pomocą, starał się usilnie wprowadzić naród polski, leniwy do handlu i przemysłu, na tę do pożytku i wzbogacenia się prowadzącą drogę. — Postać hrabiego Adama nie jest improwizacją, znamy ją dobrze, i bodajby wszyscy nasi panowie tak dobre chęci okazywali byli i takimi stali się mężami czynu na polu tém, jakie sobie obrał potomek wielkiego hetmana, przed obudzeniem się narodu ze snu letargicznego, moglibyśmy poszczycić się przed Europą, że w Polsce nie ma ani arystokratów, ani demokratów, tylko są Polacy, naród wielki, który idzie szybko do potęgi, a licząc jedynie na własne siły, musi zrzucić — i zrzuci nienawistne sobie jarzmo.

Krytyk porównywa autora „Krewnych“ z cesarzem Aleksandrem II, przypominając odezwanie się tego ostatniego: „precz z marzeniami.“ Ani w téj powieści, ani w innych utworach Józefa Korzeniowskiego nie możemy dopatrzyć się téj myśli, jak ją rozumie krytyka.

Gdyby Korzeniowski był pisarzem francuzkim, byłoby właściwém może usiłować wpływem potęgi pióra oderwać społeczność francuzką od życia materjalnego i choć cokolwiek pchnąć ją na drogę duchową. Pisarz polski może właściwiéj postępuje, radząc naszemu narodowi więcéj praktyczności, wydobywając go ze zbytecznego zagłębiania się w marzeniach i sprowadzając z drogi ustawicznych teorji, na konieczną w naszém położeniu drogę praktyczną.

Nie widzę więc tak w poprzednich zarzutach błędów, jako i w tym ostatnim, które rozmaicie dadzą się zawsze wytłumaczyć, zbrodni odstępstwa narodowego, jaką krytyka może najwięcéj przygniotła walczącego przez całe swe życie publiczne Korzeniowskiego. — Budząc nas z marzeń, Korzeniowski wzywał do pracy, nie radząc nam wszakże nigdzie wyrzec się najdroższych naszych myśli o przeszłości i przyszłości.

Przystępuję teraz do części krytyki najwięcéj w pewnym względzie słuszności za sobą mającéj, — do nieszczęśliwego w dwóch powieściach, t. j. w Krewnych i Tadeuszu Bezimiennym wyprawiania kilku bohaterów do wojska rosyjskiego.

Gdybyśmy, nie przeczytawszy z uwagą obu tych romansów, chcieli o nich sądzić z krytyki, musielibyśmy zgodzić się na to „odstępstwo narodowe“, tak nielitościwie, a w całém znaczeniu tego wyrazu niesłusznie rzucone, jak błotem w oczy zasłużonemu pisarzowi. — Podług mego zdania był to tylko błąd autora, było to zapomnienie się, — w jakich okolicznościach pisał, — do jakiego wojska Tadeusza i Eugenjusza posłał.

*) Autor znał osobiście bardzo dobrze J. Korzeniowskiego i zanim jeszcze powieść „Krewni“ ukazała się, słyszał go surowo przyganiającego młodzieży naszéj to tłumne rzucanie się po skończeniu nauk gimnazjalnych do biur wyłącznie rządowych.

Cała powieść Tadeusz Bezimienny, chociaż po mistrzowsku napisana, zajmująca, — będzie wszakże jednym z tych romansów, co to bawią, niekiedy łzy nawet sprowadzają, lecz w końcu żadnego po sobie silniejszego wrażenia nie zostawiają. Pisał tak autor, jak niestety działo się i dziś może jeszcze toż samo się powtarza. Podnosząc do wysokości swoje bohaterki, jednę z nich, to jest matkę Tadeusza, wystawił w świetle tak niekorzystném, że choć przejmujemy się dla niéj litością, nie możemy jednak przebaczyć jéj dwóch rzeczy; miłości dla jenerała rosyjskiego i niezwykłego matkom Polkom zachowania się, na widok cierpień swego dziecka.

Tadeusza żal nam szczerze dla tego, że autor kazał mu zginąć na Kaukazie. Dla czegoż wprzód nieszczęśliwego sierotę nie spotkał ten zaszczyt? Czemuż z chwałą nie zakończył smutnych dni swoich, broniąc ojczyzny od niewoli, kiedy wyprawił go autor do szeregów wojska narodowego w 1831 r. — Byłby zginął z chwałą, bylibyśmy pokochali go za odwagę i bohaterską śmierć; — kiedy przeciwnie, pozwoliwszy mu wyjść cało z walki o niepodległość — i wysławszy go do walki na Kaukaz, prowadzonéj dla ujarzmiania wolnych, a potém dla dosłużenia się stopnia i wywalczenia sobie nazwiska, autor zapomniał, że taki bohater przypominać nam tylko może naszą niedolę, nasze nieszczęście, że dobijający się Polacy wolności, walczyć muszą na Kaukazie, żeby innemu narodowi wolność odbierać.

Eugenjusz, ze słabym charakterem, zmęczony życiem, w którém smakować nie mógł, bo grunt jego serca był poczciwy, a dusza czysta, poszedł dobrowolnie do wojska, jak bardzo wielu z naszéj młodzieży to czyniło, nie odebrawszy poprzednio ani tak wysokiego wykształcenia, któreby inną drogę łatwą im uczyniło, ani zasad takich, któreby nie złamały ducha. — Eugenjusz poszedł dobrowolnie do wojska i to jest właśnie, na co krytyk powstaje, w mojém przekonaniu początek reformy wewnętrznéj w tym młodzieńcu; bo nie poszedł, ażeby szukać **karjery** w wojsku rosyjskiém, lecz zastępując brata Ignacego, rekruta, siedzącego już w cytadeli i oczekującego popędzenia go gdzieś w stepy Kaukazu lub Sybiru. To było piękne uczucie w młodzieńcu, zepsutem miękkiém życiem, wygodami, — że się przebudził, że zapragnął otrząsnąć się z tego kału, w który rozpacz go wepchnęła, że, przyszedłszy do zdrowéj myśli, skorzystał z okoliczności i uwolnił brata swego od szeniela i karabina, a sam dobrowolnie poszedł na niewygodę, na życie, które stało się dla niego rozczarowaniem. — On, pasożyt, że się tak wyrażę, poznał swą małą wartość i w uczuciu szlachetném serca, chętnie poświęcił się za brata, który już dawał rękojmię członka pożytecznego społeczeństwu. — Krytyk myli się, przypisując Eugenjuszowi poprawę i podniesienie się z upadku moralnego w wojsku rosyjskiém. Podług mego zdania, Eugenjusz, w chwili poświęcenia się za brata podniósł się tak, jak nigdy nie stał na takiéj wysokości. A w wojsku, w istocie, niech się wyznać godzi, chociaż to nawet w rosyjskiém, nauczył się praktyczności, nauczył się porządku i ulegania żelaznym koniecznościom, w jakie rygor wojskowy najtrudniejsze i najnieugiętsze charaktery wprowadza. — Eugenjuszowi było to może trochę potrzebném, bo chociaż sierota, bez majątku, lecz skutkiem wychowania po pańsku odebranego, przyzwyczaił się tylko do marzeń i nie miał ochoty zabrać się do pracy na powszedni kawałek chleba; nie chciał nawet zawodu tak poczciwego, jakim jest nauczycielski, kiedy jego dobroczyńca kasztelan do takowego usiłował go nakłonić.

Na co zgadzam się z krytykiem, to na niepotrzebne przypisywanie ze strony autora obu bohaterom, Tadeuszowi Bezimiennemu i Eugenjuszowi, zadowolnienia ze swego położenia i z towarzystwa ukształconych oficerów. Znamy to wykształcenie i nigdy nie mieliśmy powodu nim się zachwycać.

(Dokończenie nastąpi.)

SIOSTRZENICA KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Powieść ze świeżych zdarzeń

napisana przez

Michała Bałuckiego.

(Dalszy ciąg.)

IV. Nieczyste dusze.

Zenon, od czasu jak zobaczył w lesie Anetkę, na serjo zaczął przemyślać o sposobie zbliżenia się do niéj. — Romans z piękną dziewczyną wśród ciszy wiejskiéj, wydawał mu się zbyt powabnym, by mógł go zaniedbać. Była to nie do odrzucenia zabawka wśród nudów, jakie go na wsi czekały. — Oporu nie spodziewał się wielkiego. Reputacja, jaką mają zwykle siostrzenice proboszczów, podniecała jego nadzieje. — To też zaraz następnego dnia pojechał w stronę lasu, gdzie ją wczoraj zobaczył. Był pewny, że ją tam zastanie. — Omylił się. Anetka ani tego, ani następnego dnia nie pokazała się w lesie. — To go rozdrażniło. — Zenon nie należał do ludzi, którzy umieją czekać. Był przyzwyczajony dogadzać od razu zachciankom swoim. — To też nie zastawszy swojéj boginki leśnéj w pustelni, postanowił odszukać ją na plebanji. Wprawdzie nie znał księdza proboszcza i nigdy dotąd nie starał się do niego zbliżyć; ale to go nie żenowało. — Zbyt lekceważył go, aby miał uważać na to, jaką minę zrobi na jego wizytę. — Bez namysłu więc pojechał na plebanję.

Ksiądz proboszcz przyjął go grzecznie, ale chłodno. Znał on po trochu życie i charakter Zenona i nierad był widzieć go w swoim domu. Dał mu to delikatnie uczuć postępowaniem swojém. Ale Zenon nie zważał na to wcale. Szło mu tylko o zobaczenie Anetki. — Anetki jednak nie było na probostwie, znajdowała się właśnie pod ten czas w ochronce. Gdy wróciła i dowiedziała się, że dziedzic jest u księdza, zarumieniła się. Próżność podszepnęła jéj, że dla niéj przyjechał tutaj. Domysł ten nabrał więcéj jeszcze pewności, gdy się dowiedziała od Marty, że młody dziedzic nigdy dotąd nie bywał tutaj. —

Nie śmiała jednak wejść do pokoju księdza, który jakby z umysłu trzymał tam swego gościa. Usiadła więc z robotą pod oknem i przysłuchiwała się ich rozmowie. — Głos Zenona dziwnie działał na nią. Doznawała jakiegoś niepokoju i wzruszenia, z którego sobie sprawy zdać nie mogła. —

Zenon czy przeczuwał, że jego boginka jest niedaleko, czy też dosłyszał jéj głosik podczas rozmowy z Martą, dość, że niecierpliwił się w pokoju i szukał sposobów wyjścia z niego. — Pod pozorem obejrzenia

ogrodu zaproponował księdzu wyjście z pokoju. Ksiądz nie mógł odmówić i wyprowadził gościa na ogród. Zenon zaledwie wszedł do ogrodu dostrzegł Anetkę i ukłoniwszy się jéj, chciał zbliżyć się do niéj, ale ksiądz poprowadził go w przeciwną stronę. Oprowadzał go czas jakiś po ogrodzie i uporczywie bawił rozmową. Zenon się niecierpliwił, usiłował parę razy skierować księdza ku plebanji, ale mu się to nie udało. Wreszcie oświadczył mu, że już musi wracać do domu. Spodziewał się, że w ten sposób zobaczy siostrzenicę, że ksiądz będzie musiał go zaprezentować; ale omylił się. Ksiądz poprowadził go inną drogą wprost ku bramie, gdzie stał koń Zenona. — Pożegnał go nader uprzejmie, ale nie zapraszał wcale do siebie. —

— Ksiądz zazdrosny — myślał sobie Zenon wracając do domu — boi się o swoją turkaweczkę.

Taka przeszkoda zachęcała go jeszcze więcéj. Ułożył nawet plan dalszego postępowania, do którego postanowił wciągnąć i Augusta. Chciał mu zaproponować, aby razem zrobili wizytę księdzu. W takim razie spodziewał się, że August będzie bawił księdza rozmową, a on tym czasem będzie miał sposobność zbliżenia się do siostrzenicy i pogadania z nią swobodnie. — Nie wątpił, że ten plan się uda; liczył wiele na powodzenie, jakiego doświadczał zawsze u kobiét. — Nie zwlekając więc długo, postanowił dziś jeszcze pomówić w tym względzie z Augustem. — Nie zastał go jednak w domu. Powiedziano mu, że pan August wyjechał przed wieczorem. —

— Skoro wróci — rzekł Zenon do służącego — dasz mi znać. Albo poprosisz pana Augusta do mnie.

Długo jednak czekał w swojém mieszkaniu i nie mógł się doczekać. Zniecierpliwiony poszedł sam do niego. August co dopiéro wrócił.

— Szukałeś mnie podobno? — spytał wchodzącego Zenona.

— Tak. Mam do ciebie interes. — Gdzież byłeś tak długo? —

— Zasiedziałem się na probostwie.

— Na probostwie. A więc znasz się już z księdzem? —

— Bardzo dobrze. Poznaliśmy się od miesiąca.

— Więc i jego siostrzenicę znasz także?

— Więcéj niż znam. —

— Jakto? —

— Żenię się z nią. —

— Jakto — ty? Człowiek z takiemi zasadami?

— Cożto przeszkadza poślubić mi siostrzenicę proboszcza? —

— Nie najlepiéj podobno mówią o niéj. —

— I ja to słyszałem, ale poznawszy bliżéj księdza i ją, przekonałem się, że gadania były oszczerstwem. — Anetka jest cnotliwą dziewczyną. Ale, przepraszam cię, że zajmuję cię mojemi sprawami. Jakiż interes miałeś do mnie? —

— Nic pilnego. Chciałem ci się poradzić względem... względem przebudowania mojego pawilonu. — I kiedyż myślisz się żenić?

— Jak najprędzéj. —

Wiadomość ta zaniepokoiła trochę Zenona. — Nie dla tego, że ta, względem któréj miał pewne zamiary, ma zostać żoną jego przyjaciela; takich skrupułów nie znał Zenon. Owszém zamiar jego nabierał przez to więcéj powabu i interesu. Zaniepokoiła go tylko krótkość czasu do wykonania zamiaru swego i trudności, jakie temu stawały na przeszkodzie. Zwłaszcza, że nie mógł teraz liczyć na pomoc Augusta. Chciał go zrobić swoim sprzymierzeńcem, gdy naraz dowiedział się, że ma w nim rywala i to tém niebezpieczniejszego, że uzbrojonego w akt ślubny i małżeńskie zamiary. —

— Sprawa jest o wiele trudniejsza, niż z początku sądziłem — myślał sobie — ale za to tém więcéj ma interesu. — Jeżeli w istocie Anetka jest taką, jak August przedstawia, a musi być taką, bo inaczéj nie decydowałby się żenić z nią — to trzeba będzie zmienić plan postępowania.

Pobawił jeszcze czas jakiś u Augusta i sprowadził znowu zręcznie rozmowę na małżeństwo, chcąc się coś bliższego dowiedzieć o Anetce, o jéj usposobieniu, upodobaniach etc. —

— Musi być miła panienka i zajmująca? — spytał.

— I poczciwa — dodał August. — Wprawdzie główka trochę obałamucona czytaniem książek bez wyboru i romansowa; ale ta wada jest do wyleczenia. —

— Romansowa — powtórzył sobie Zenon w duszy. — W ten punkt postanowił uderzyć. Znał broń na tę słabość. — A że czasu było nie wiele, postanowił działać rezykownie i śmiało.

2. Wąż w raju.

Zaraz drugiego dnia rozpoczął miłosną kampanję. Szczęśliwy pomysł do jéj rozpoczęcia przyszedł mu w kaplicy podczas mszy świętéj, któréj Zenon co dzień z przykładną słuchał pobożnością. — Otóż podczas mszy przyszła mu myśl, że zapewne i ksiądz proboszcz co dzień mszę odprawiać musi, że jeżeli wtedy Anetka zostaje w domu, będzie mógł swobodnie z nią się rozmówić, o co mu głównie chodziło. — Po wysłuchaniu więc mszy poszedł ku parafji na rekonesans. Zastał właśnie drzwi kościoła otworem a proboszcza przy ołtarzu. — Dla przekonania się, czy Anetka bywa w kościele, wstąpił i wysłuchał drugiéj mszy. — Z téj gorliwości religijnéj odniósł najprzód tę korzyść, że przykładem swoim zbudował kilka wieśniaczek, które nie mogły się dość nachwalić we wsi pobożności dziedzica — a powtóre dowiedział się, że Anetka nie była w kościele. —

Postanowił z tego szczęśliwego zdarzenia korzystać i następnego dnia o téj saméj porze pod pozorem ważnego interesu wstąpił na probostwo. — W progu spotkał się z Anetką wychodzącą właśnie do ogrodu. Rumieniec, który twarz jéj oblał na niespodziewany widok Zenona, był dla niego dobrą wróżbą i ośmielił go do zatrzymania jéj. —

— Wuja niema w domu, jest w kościele — rzekła niepytana. —

— Wiem o tém i dla tego tu przyszedłem. Chciałem bowiem przeprosić panią za moje niegrzeczne znalezienie się w lasku. Byłem tam już parę razy, ale nie zastałem pani. Musiałem więc aż tu panią szukać, by ją przeprosić, by jéj powiedzieć, że zapomniałem się wtedy. Ależ bo nie trudno się było zapomnąć ujrzawszy panią. Czy przebaczasz mi pani? —

— Ja się nie gniewam na pana — odrzekła nieśmiało. —

— A jednak unikasz mnie pani. Bardzoby mi to ciężyło na sercu, gdybyś pani z mojego powodu miała się pozbawiać miłych spacerów do lasu. Przyszedłem więc powiedzieć ci pani, że jeżeli zbrodnią nazywasz chęć oglądania ciebie, gotów jestem nie pokazać się tam wcale. — Wystarczy mi wiedzieć, że pani tam jesteś, szukać tam pani myślą, gdy mi oczami spotkać jéj nie wolno. —

Anetka zarzucona gradem tych słów namiętnych, gorących, stała jakby nieprzytomna, nie wiedząc co odpowiedzieć. — Śmiałość Zenona ją obrażała, ale to co mówił silnie przemawiało do jéj główki. — Pierwszy raz w tym tonie przemawiano do niéj. Na szczęście czy nieszczęście zjawiła się w téj chwili Marta i na widok nieznajomego trzymającego Anetkę za rękę, zrobiła duże oczy. Zenon puścił rękę Anetki i ledwie dosłyszanym głosem szepnąwszy jéj: czekam, — odszedł spiesznie. —

— Kto to był? — spytała Marta Anetki zdziwiona trochę jéj pomieszaniem. —

— To dziedzic. —

— A! syn dziedziczki. Czegoż on tu chciał? —

— Pytał się o wuja. —

— No i nie czekał na niego; ale wyleciał jak oparzony. —

Anetka nie uważała za stosowne objaśnić Martę w tym względzie. —

— Czy on cię zna? — spytała znowu stara. —

— Tak. —

— Chyba dawniéj gdzie go poznałaś? —

— Tak. —

— Pytania męczyły Anetkę; chcąc się ich pozbyć wyszła do ogrodu i tu usiadłszy rozmyślała nad tém, co się stało. — Nieraz już postać jeźdźca, którego spotkała w lesie, plątała się jéj po głowie i czy to dla tego, że zjawił jéj się wtedy, gdy właśnie spodziewała się Augusta, czy dla innych powodów, ile razy chciała myśleć o Auguście, myślała mimowoli i o tym jeźdźcu. — Wizyta jego na probostwie jeszcze więcéj podrażniła jéj wyobraźnię i wyraźniejsze kształty dała marzeniom. — A choć marzenia te dość śmiałe tworzyły obrazy, to jednak dzisiejsze zdarzenie zastało ją całkiém nieprzygotowaną. — Śmiałe wyznanie Zenona nie było dla niéj niemiłe; słuchając go, doznawała dziwnego wstrząśnienia. Zrobił on na niéj daleko silniejsze wrażenie niż August kiedykolwiek. Augusta spokój ziębił ją, łagodna i cicha miłość jego wywołała w niéj tylko przychylność i sympatję, gdy tymczasem pojawienie się Zenona działało na nią jak płomień, który serce jéj rozpalał i niepokoił. — Nie mogła myśleć o nim na zimno. — Dodajmy do tego, że Anetka przy całéj poetyczności pamiętała dobrze, że Zenon był dziedzicem — a łatwo się domyślimy, o ile August tracił w jéj oczach na tém porównaniu. —

Pomimo to czy przez skromność, czy przez skrupuł sumienia, nie mogła się zdecydować na wyjście do lasu, choć ostatnie słowo „czekam" rzucone w jéj uszko przez Zenona, kusiło ją i ciągnęło w tamtą stronę. — Walczyła tak ze sobą samą przez dwa dni. Trzeciego dnia — a było to w niedzielę — ujrzała Zenona w kościele. Oka z niéj nie spuścił a wzrok jego wyrażał wymowną prośbę. — Pod naciskiem tego wzroku Anetka modlić się nie mogła, była roztargniona i pomieszana. — Parę razy odważyła się spojrzeć na Zenona. Zdawało jéj się, że był mizerny i blady — a miłość własna dodała do téj uwagi mały komentarz, że to z jéj winy.

To ją zmartwiło. — Po południu nudno jéj było w domu — wyszła na przechadzkę. Idąc bez celu ni ztąd ni z owąd znalazła się koło wału gajowego. Przelękła się własnéj śmiałości i chciała co prędzéj wracać. Ale rozwaga podszepnęła jéj, że może bez obawy wejść do lasu, że tam nie zastanie zapewne nikogo, gdyż Zenon czekając jéj tu tyle dni napróżno, musiał się wreszcie znudzić i zaprzestał tu bywać. — Ta uwaga uspokoiła ją i popchnęła na wał. — Przez krzaki i zarośla prędko dostała się do swojéj pustelni. Stanąwszy tam zdumiała zobaczywszy zmiany, jakie nieznana jakaś ręka porobiła w jéj cichéj ustroni. — Pod dębem, gdzie zwykle czytywała, zieleniła się darniowa kanapka; na niéj leżał świeży bukiet róż. Kilka innych zeschniętych bukietów leżało na boku w trawie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MŁODYM TOWARZYSZOM.

Hej! towarzysze młodzi!
Ilu nas razem jest.
W nas myśl się nowa rodzi,
Przyszłości dajmy chrzest!

Bierzmy rzecz na rozumy,
Dość marzeń, mrzonek dość!
Przyszłość trzymamy w kumy,
Więc zdrowo musi rość!

Wytrąćmy świat z kolei
Zmurszałych doktryn, zdrad!
Nowéj służmy idei,
Ku wiedzy pchnijmy świat!

Wiedza — to wielka władza
Ciemnoty burzy tron,
Świat wiedzą się odradza
Wiedzy zbierajmy plon.

Hej! towarzysze młodzi!
Ilu nas razem jest...
Idei co się rodzi,
My życia dajmy chrzest.

Wł. Bełza.

OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wyexaltowana dziewczyna czuła jakieś bolesne zadowolnienie w tém poświęceniu okropném. Zadowolnienie, że okupuje spokój matki, zadowolnienie także, że mści się niejako na Arturze. Co do siebie, zdawało jéj się, że serce jéj umarło na zawsze, że nie pokocha nikogo, że zamężna, czy nie, resztę życia spędzi równie smutnie i bezbarwnie... Przyszłość jéj wydawała się szara jak mrok jesienny, bez jednéj gwiazdki, bez celu.

Wolałaby była nie iść za mąż wcale, ale gdy to było tak dla matki upragnionem, czemuż jéj téj przyjemności odmawiać, a skoro znów Artur był stracony na zawsze, Feluś, czy inny, czyż to nie wszystko jedno? Całe to rozumowanie było naturalnie najfałszywszém w świecie. Pola zapomniała, że i najstraszniejsze boleści nie są wiecznemi, że serce jéj odżyje, nadzieje z popiołów wstaną, pragnienia się rozbudzą. W naiwności swojéj nie oceniała także całego obszaru pożycia domowego, całéj zależności kobiéty od męża, nie wiedziała

nawet jeszcze, czego ten mąż ma prawo od niéj wymagać.

Jak wszyscy entuzjaści, szła ona na męczeństwo, nie czując całéj jego okropności.

Na drugi dzień obaj panowie Adamscy w czamarkach i lakierkach zjawili się w Staréj wsi, i oświadczenie odbyło się po formie.

Ale gdy Feluś wyrecytował w kąciku wyuczoną na pamięć przemowę, Polcia, która jéj wysłuchała uważnie, odrzekła powoli i spokojnie:

— Nim odpowiem panu stanowczo, muszę z panem otwarcie pomówić.

Feluś szeroko otworzył oczy i zaczerwienił się mocno.

— Nie kocham pana, i nie wiem, czy kiedykolwiek pokocham, ale będę pana szanować, bo rodzice moi utrzymują, że na szacunek zasługujesz. Możesz więc pan liczyć na przyjaźń moją, wierność i szacunek... jeżeli ci to wystarcza, zostanę pańską żoną.

Nawet Felusia drasnęły te słowa, ale cofnąć się bynajmniéj nie myślał. Słyszał to nieraz, że żony dopiéro po ślubie rozkochiwują się w mężach, romantykiem wcale nie był, na sentymentalnych subtelnościach nie znał się zupełnie. Odpowiedział więc, że mu to bardzo przykro, ale że tę obojętność potrafi zwalczyć przywiązaniem swojém, a tymczasem gotów poprzestać na tém, co mu ona ofiarować raczy.

Po zwykłych ceremonjach i podziękowaniach odbyły się ciche zaręczyny, zakropione paru butelkami szampana, a potém dwaj ojcowie wynieśli się do kancelarji ex-mecenasa.

Piotrowicz wiedział doskonale, na jak kruchych podstawach cały jego gmach polega, czuł, że powrót Artura, jakaś o nim pewna wiadomość, mogą cały ten budynek rozbić, że więc całe powodzenie zależy od pospiechu.

Wręcz zatém oświadczył Adamskiemu, że żona chora, że do Włoch z nią jechać musi, i tam długo, może lat parę zabawią, że trzeba albo ślub trochę przyspieszyć, albo go odłożyć do nieograniczonego czasu. Nasz pan Wojciech, który lubił projekta doprowadzać do końca, któremu taka synowa wykształcona, delikatna, bogata i ładna pochlebiała bardzo, i który wreszcie palił się do Staréj wsi, wybrał naturalnie pospiech i zaraz ułożono, że ślub odbędzie się zupełnie cicho, najprędzéj jak można, to jest 8 stycznia, za indultem.

Wprawdzie, wezwana na radę pani Zofja, protestowała trochę przeciwko temu terminowi ze względu na wyprawę córki, ale ustąpić musiała. Zresztą, młoda para wprowadzała się do Staréj wsi i zastawała dom urządzony zupełnie.

Prócz tego, Pola miała część wyprawy przysposobioną, „prócz tego — dodał Piotrowicz — kupią sobie młodzi wedle własnego gustu czego im zabraknie."

Skończyło się, jak zawsze, na tém, czego chciał mąż, i matka Poli musiała się wyrzec jednego ze swoich najdroższych marzeń, to jest, kupować dla córki wyprawę za granicą i wyprawienia jéj tańczącego wesela.

Gdy się wszyscy do swoich rozeszli pokoi, majorowa podążyła za Polcią.

— Dziecko moje — rzekła do niéj — co to wszystko znaczy?

— Nic babuniu, idę za mąż.

— Ale wszak ani słuchać nie chciałaś.

— Namyśliłam się.

— Ej ty coś kryjesz przedemną... serce się kraje patrząc na ciebie... i staruszka się rozpłakała.

— Uspokój się babuńciu droga, uspokój, widzisz, że mi nic nie jest.

— No? a tamten? — pytała daléj majorowa.

— Sza! babuniu, ani słowa, gorączkowo i prawie gniewnie zawołała wnuczka.

— Dobrze — dobrze — ale jednak...

— Jeżeli masz litość nademną, ani słowa o tamtym.

Babunia zamilkła, pokiwała głową patrząc smutnie na wnuczkę, i wyszła łzy obcierając.

Ruch się rozpoczął zaraz na drugi dzień w Staréj wsi i Rogoży. Z powodu zimy i krótkiego czasu, trudno było jechać po wyprawę, zapisano jednak z Warszawy, Wrocławia i Berlina co było najpotrzebniejszego, a z zapasów, bieliznę szyto na gwałt, haftowano, krajano. Piotrowicz każdą rzecz zapisywał starannie do rachunku i gdzie mógł zwiększał cyfry... Gdy mu to pospolite oszustwo sumienie wyrzucało, mruczał cicho:

— Cóż u djabła... Tylem się koło jéj interesów nałaził... i męża jéj znalazłem... toć mi się coś za fatygę należy...

Wśród tego ruchu i tych stosów materji, wełny, płócien i drobiazgów, Pola chodziła spokojna, poważna, obojętna. Próżno pani Zofja, dla któréj wyprawa była wypadkiem historycznym, chciała jéj zdania zasięgnąć, ona we wszystkiém spuszczała się na matkę.

Im bardziéj jednak zbliżał się ów dzień oznaczony, tém częściéj przychodziły na Polę chwile niepokoju i jakiegoś przestrachu. Na myśl, że na zawsze ma należeć do Felusia, przejmowało ją coś do wstrętu podobnego i czuła przerażenie blade. Ale po takich chwilach ocierała czoło dłonią, uśmiechała się z goryczą, szepcząc cicho:

— On, czy kto inny, wszak to wszystko jedno dla mnie... a mama tego tak pragnie!...

Tymczasem pan Wojciech z synem pojechali do Warszawy i pokupowali: karetę, kocz, nieco eleganckich mebli, czwórkę doskonałych koni i bardzo ładne prezenta dla narzeczonéj.

Słowem wszystko odbywało się z szykiem i nasz pan Wojciech, choć dorobkiewicz, nie żałował grosza, gdy o splendor domu chodziło.

A gdy w dwóch znajomych nam domach gotowano się tak do uroczystego aktu kupna i sprzedaży, stary Antoni ciągle siedział w kozie, o Arturze nikt nic w całéj nie wiedział okolicy, a naokoło atmosfera przepełniała się coraz więcéj gazami palnemi.

W Warszawie, aresztowania szły za aresztowaniami, na prowincji uwijali się komisarze rewolucyjni, wszystko wrzało przeczuciem czegoś niezwykłego. Cała część szlachty młodsza, gorętsza, uboższa, stanęła w spisku, część starsza, zamożniejsza, trzymała się upornie na boku, odmawiając pomocy zarówno Wielopolskiemu, jak władzom spiskowym. Kraj się zbliżał oczywiście do katastrofy, ztąd entuzjazm i zapał na prowincji i w niższych sferach organizacji, ztąd przerażenie i rozpacz u góry sprzysiężenia, gdzie znano jego materjalną słabość.

Stan ten mniéj lub więcéj oddziaływał i na naszych znajomych.

Piotrowicz ze zwykłym sobie sprytem pojmował, że jak tylko władze zgniotły głośne manifestacje, poruszone żywioły cofnęły się w głąb i fermentują konspirację, i muszą buchnąć wulkanem. Nie na żarty też się spieszył, i zamierzył drapnąć w świat, ale chciał wprzódy chwycić owo dożywocie żony, na kapitał przerobione.

Pani Zofja nie rozumiejąc o co idzie, przerażona była ostrzeżeniami męża, majorowa przeciwnie, odmładzała się na wspomnienie 31go roku, na myśl, że jeszcze może zobaczy polskie wojsko. Pola cały zapas entuzjazmu i zapału, jaki jéj pozostał, wlewała w oczekiwanie tego, co się stać miało, i pod tym względem nie traciła ani wiary, ani nadziei.

W Rogoży działo się zupełnie inaczéj.

Hrabia Alfred zapewnił niedawno pana Wojciecha, że wszystko skończy się na niczém, że dyrekcja biała na wybuch nie pozwoli, że to tylko dalszy ciąg mani-

festacji, że Wielopolski jest w porozumieniu z Komitetem centralnym, i pan Wojciech pewny był, że może spać spokojnie. A gdy on tak sądził, żona i syn nie mogli sądzić inaczéj. Dla tego gdy mecenas spieszył się z pozbyciem Staréj wsi, nasz szlachcic, choć dorobkiewicz i kuty, spokojnie lazł w interes i płacił za dożywocie tyle prawie, ile majątek za lat parę miał być wart cały.

Nareszcie skończył się rok 1862, a na zegar dziejowy wstąpił pamiętny, krwawy, straszny klęskami, ale świetny ofiarnością i poświęceniem rok 1863. — Któż go nie pamięta?... kiedyż Polska zapomni o nim?...

X.

Ósmego dnia nieszczęsnego tego roku, około 11téj rano, w murowanym kościołku Starowiejskim, odbył się ślub naszéj bohaterki z p. Feliksem Adamskim.

Przy akcie tym byli obecni tylko rodzice obojga młodych i kilka osób z najbliższéj rodziny. Polcia w białéj jedwabnéj sukni, we wieńcu myrtowym i długim welonie wyglądała jak marmurowy posąg. Kto ją znał przed rokiem, nie byłby jéj poznał chyba... Śniada jéj twarz stała się prawie przezroczystą i miała woskową żółtość trupa. Usta kolorem nie różniły się od twarzy, oczy suche patrzały bez wyrazu, prawie osłupiale.

— Czy Polcia nie chora czasem? zapytała się pani Adamska Piotrowiczowéj, gdy panna młoda weszła do salonu.

— Nie, — odpowiedziała pani Zofja łzy powstrzymując — ale takie wzruszenie... dzień taki!...

Kiedy przy błogosławieństwie rzuciła się w objęcia matki, szepnęła jéj do ucha:

— Czy cię nie kocham mamo?... — ale ani jedna łza z oczu nie popłynęła.

Pani Zofja zanosiła się od płaczu, majorowa także łez powstrzymać nie mogła, nawet mecenas oczy chustką batystową obcierał, a ściskał i całował Polcię.

— Głupie to serce ludzkie — mówił do Adamskiego — pokochałem to dziewczę, jak swoje własne.. Serce mi się kraje, że mi ją pan zabierasz...

Szlachcic trochę ironicznie spojrzał na prawnika, bo pamiętał przecież, że nie dawniéj jak wczoraj wyliczył za tę ukochaną pupilę trzykroć z górą.

Przed ołtarzem stanęła Polcia chłodna i sztywna, tylko między brwiami zjawiła się zmarszczka i usta się zacisnęły jak u człowieka, który postanawia bolesną amputację znieść odważnie.

Słowa także przysięgi wymawiała panna młoda głośno, wyraźnie i prędko, słowo tylko „miłość“ szepnęła tak cicho i niewyraźnie, że żaden ze świadków, a nawet pan młody nie mógłby przysiądz, że wyraz ten słyszał.

Piotrowicz chciał kazać kościół zamknąć, żeby się „chłopstwo nie cisnęło“, ale się Pola temu oparła. Chłopstwo też, które panienkę swoją serdecznie kochało, zbiegło się tłumnie i na palce się wspinało.

Kiedy po ślubie, zawsze blada i bez łzy jednéj szła Pola, prowadzona przez obu ojców, z tłumu głów wysunęła się nieco jedna, siwa jak mleko, o brwiach białych i dużych, pokurczona i stara.

Z dwojga oczu zagłębionych łzy płynęły jak woda, łzy ciche i spokojne starca, i staczały się na siwe nastrzępione wąsy.

Gdyby Polcia była w tę stronę spojrzała, byłaby poznała twarz starego Antoniego.

Po drugiéj stronie kościoła, wylazłszy na ławkę, niedawno odpędzony Piotruś z wyrazem przywiązania i ciekawości przyglądał się swojéj śliczniutkiéj „panusi.“ Polcia żadnego z nich nie dostrzegła, bo Polcia nie widziała w téj chwili nic i nikogo.

Towarzystwo wróciło około 12 do dworu. Warszawska kareta Felusia, cztery kare konie, uprząż, liberja, byłyby zachwyciły każdą inną kobiétę. Pola zdawała się nie widzieć tych pyszności.

Przy śniadaniu była, jak ciągle, poważną i milczącą. To zaczęło już gniewać panią Adamską, i znów zrobiła uwagę jednemu z kuzynów Polci, że „panna młoda wygląda jak z krzyża zdjęta.“

— Lub jak na krzyż kładziona... odpowiedział stary dowcipniś, który nie lubił Adamskich.

Przy śniadaniu tém, Feluś miał arcy-zabawną minę. W białym krawacie i kamizelce, wyprostowany i widocznie czujący ubiór świąteczny na sobie, w rękawiczkach‘ których w żaden sposób dokładnie włożyć nie mógł, rozczerwieniony, przejęty tą rolą głównéj postaci, jaką odgrywał, siedział także milczący i czasem tylko częstował młodą żonę pasztetem, konfiturami lub szampanem.

Nigdy może niestosowność téj pary nie raziła tak, jak w téj chwili, gdy oboje przy sobie siedzieli, on płasko śmieszny i litość budzący, ona przerażająco poważna i smutnie piękna.

Milczenie i zły humor państwa młodych oddziałały na obecnych, i jakaś chmura przymusu i chłodu osiadła na wszystkich twarzach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

„Prawda“ — nowy organ stronnictwa ukraińskiego.

Ruskie stronnictwo narodowców czyli Ukraińców po kilkomiesięcznéj niemocy i osłabieniu, w jakie je wtrąciło połowiczne na sejmie galicyjskim niezałatwienie wniosku Ławrowskiego, zaczyna na nowo odżywać i do sił przychodzić. Prawda, że zdobywanie sił nowych w każdym organizmie społecznym lub politycznym bywa zależném od ich poczucia i świadomości dróg, na które takowe skierować potrzeba, a tego o stronnictwie ukraińskiém w tym razie powiedzieć się nieda; niemniéj przeto świadomość ta, o ile omija dawniejsze jego stanowisko polityczne, o tyle staje się mocniejszą i jawniejszą na gruncie czysto społecznym i literackim. Wniosek Ławrowskiego dążył do umożebnienia ugody narodowościowéj w tak zwanéj kwestji ruskiéj i postawiony za inicjatywą Ukraińców. Załatwienie jego choćby nawet częściowe, mogłoby było być korzystném dla Polaków już dla tego, że pozbawiało wszelkiéj słuszności bytu stronnictwa Św.-jurskiego. Czując to Św.-jurcy, zawzięciéj wystąpili przeciw temu wnioskowi od samych Polaków, oczywiście nie w charakterze koterji lub wrogów narodu, lecz pod maską jego przyjaciół i obrońców. Wniosek pozostał niezałatwionym w biurach sejmowych, a Što-jurcy podniosłszy głowę, wystąpili teraz jawnie nietylko przeciw Polakom, ale i Ukraińcom. Nie myślimy tu stawiać wszelkich możliwych kombinacji, jakieby wyniknąć mogły przy inném załatwieniu téj kwestji — nie jest to bowiem artykuł treści politycznéj; ominąć wszakżeż nie można téj okoliczności, że gdyby się znalazła była w sejmie ze strony polskiéj osobistość, któraby chciała lub potrafiła w formie projektu do uchwały sejmowéj sformułować doraźnie i ryczałtowo w jednym obrazie stan kwestji ruskiéj w obecnéj jéj fazie rozwoju i dać dokładny obraz faktycznie istniejących, już w życie wprowadzonych ustępstw na rzecz Rusi — jak również, gdyby poseł Ławrowski zbadał był, dokładnie

grunt galicyjsko-polski, i zniosłszy się uprzednio ze stronnictwami polskiemi, postanowił, niezależnie od entuzjastycznéj przemowy, parę projektów odrębnych, na rzecz instytucji ruskich, to tak sprawa polska jak ruska innyby wziąść mogły obrót. Bądź jak bądź w takim stanie, w jakim pozostała ona na ostatniéj kadencji, zachwiać musiała kwestję ugodową: o ile bowiem dotychczasowe przeczące położenie Sto-jurców wzmocniło się, o tyle stanowisko Ukraińców osłabiło się i zachwiało. Widoczną zaraz oznaką tego osłabienia była nieporadność publicystyczna i literacka. Istniejący organ literacki „Prawda“ upadł, organ polityczny „Osnowa“ upadać zaczął, a projekt założenia nowego rozbił się o obojętność i apatję stronników.

Lecz jak po każdéj przegranéj musi nastąpić reakcja, a w skutek niéj nowy prąd życia, tak też i tu apatja długo trwać nie mogła. Stronnictwo Ukraińskie spostrzegłszy, iż po przegranéj politycznéj pozostają im jeszcze dla ratunku prace organiczne na polu oświaty, pielęgnowanie ubogiego języka i literatury, założyło nowe pismo polityczno-literackie pod dawniejszym tytułem „Prawda“ o którego celu i treści pomówić chcemy:

Na pierwszym zaraz miejscu, po wstępie, zawierającym program kierunku pisma, umieszczono artykuł p. t. „Polityka uczuciowa a utylitarna“, w którym luźnie skreślono obraz i charakter obozu galicyjsko-ruskiego od czasów obudzenia go do życia politycznego przez Stadiona, aż do dnia dzisiejszego. Jeśli autor tego artykułu zwąc dotychczasowe postępowanie swego stronnictwa uczuciowém, rozumiał fakta przez siebie przytoczone w tém znaczeniu, w jakiém i my zaznaczyliśmy akcję Ławrowskiego, zgodzić się z nim można; w przeciwnym razie treść artykułu wcale nieodpowiada przeznaczeniu. Wniosek ugodowy na korzyść Rusinów mógł załatwiony być dostatecznie częściowo, bo stosunki mas, wytworzone wiekami, nigdy nie mogą być przekształcone z gruntu jedną uchwałą sejmową lub jednym zamachem pióra, lecz powolnie i organicznie t. j. w tym razie takiemi ustępstwami ze strony polskiéj, jakie przeciwnéj stronie słusznie się należą.

Tak samo jak część polityczna pisma, nieodpowiada zadaniu swemu i część jego literacka, artykuły bowiem treści belletrystycznéj zabarwiono również polityką. I tak: Szereg ich poprzedzają utwory niby liryczne niejakiego p. Hetmańca, który widocznie uwziął się na to, aby znośne pozostałe artykuły przyćmić pisaniną swoją, jak to mówią, ani do składu, ani do ładu. Wiersz p. t. „Głos do braci Sławian“ nacechowany jest chwiejnością i obłudą, jaka zaczęła się wyrabiać, nie powiemy w sercach, lecz w głowach sławiańskich pod wpływem pojęć panslawistycznych. Autor płacze nad uciskiem Sławian, nad gorzką ich dolą w jarzmie obcém, a ubolewając nad niezgodą panującą między różnymi ich szczepami, wzywa do jedności i zespolenia sił rozdartych; bo ta jedność wydaje mu się teraz potrzebniejszą, niż kiedy indziéj, w obec „zbliżającéj się nawałnicy z Zachodu.“ Jako nić przewodnią wiersza przeprowadził myśl obrony szczepu ruskiego przed niesłusznymi wrogów tegoż zarzutami. Powiada, że Ruś zawsze walczyła tylko w obronie praw swoich, narzędziom niewoli nigdy nie służyła, lecz, przeciwnie, wywalczała swobodę dla innych. Na świadectwo powołuje „brata Czecha, Serba i Słowaka.“

O „braciach: Moskalu i Lachu“ tak się odzywa:

„Czemu nie ufasz ty bracie Moskalu —
Czy jużci obawiasz się zdrady?
Z tobą wszak losy nas krwawe złączyły —
Nie będzie na wieki już zwady. —

Z tobą oddawna pracujem na polu
Rozwoju nauki, oświaty,
Z tobą oddawna szukamy wolności —
Ją z tobą nam dzielić należy!

Bracie též Lachu, — czyż wiecznie na roki
Przewlekać nam sprawy biedacze?!
Zrzuć-bo raz przecie z twych oczu ułudę,
A spojrzyj otwarcie i szczerze:

Tylko za nasze walczyliśmy prawa,
Gdy nas znieważano, tłumiono;
Nigdy zaś obcym nie kładliśmy pętów,
Wolności nie braliśmy innym!

W przekładzie powyższych kilku wierszy ściśle trzymaliśmy się oryginału, ani na jotę prawie nieodstępując od niego; w miejscu tylko trzynastozgłoskowéj budowy wiersza, zachowaliśmy 12-zgłoskową. Można więc sobie wyobrazić, pominąwszy bałamutną i niezrozumiałą treść jego, serwilizm i płaszczenie się przed Rosją, jak dalece musi on być ciężkim i nieskładnym: harmonji żadnéj, rytmiczność szkaradna; samo tylko słownictwo języka wolném być może od nagany.

Nieco już większéj wartości jest przekład tegoż autora umieszczonych tamże paru piosnek serbskich.

W porównaniu za to czystością stylu celują pozostałe utwory poetyczne: Pawła z Ukrainy wiersz p. t. „Do mojéj Katnusi“ i p. K. Ustjanowicza p. t. „Nasza cerkiew“; zarówno treścią jak i zewnętrzną harmonijną budową swoją odpłacają one czytelnikowi to znużenie i niesmak, jakiego doznać musiał przy czytaniu „Głosu.“ Treścią obu tych wierszy jest wzniosła miłość i nadzieja lepszéj przyszłości z tą różnicą, że w pierwszym za przedmiot miłości obrał p. Pawło z Ukrainy ukochaną przez siebie kobiétę, w drugim pan K. Ustjanowicz ubogą ruską cerkiew. Z obu wieje ta męzka rzewność i prostota, które odświeżają serce ludzkie i wlewają weń siłę swą, konieczną wiarę i pewność świetlanéj przyszłości. Nawet ustrój architektoniczny jednakowo w obu zachowany został: i tu i tam autor szle najpierw skargę na obecne położenie — w pierwszym swoje osobiste, w drugim cerkwi; a następnie przybiera te dźwięki uczucia, które zlewają się w obraz przyszłości. Dla tego możnaby je było, pomimo różnych imion podpisowych, wziąść za utwór jednego pióra, gdyby nie różnica stylu i ten odcień uczucia, jaki znamionuje różnicę usposobienia wewnętrznego każdego z autorów: u Pawła więcéj spokoju lirycznego, u Ustjanowicza więcéj żółci i ognia. Przytaczamy w przekładzie dwa czterowiersze tego ostatniego, które chociaż nie dadzą wyobrażenia o rytmiczności wiersza, bardzo pięknego nawet niekiedy, bo ta jako oryginalnie toniczna w oryginale tylko ukraińskim oddaną być może, lecz przynajmniéj dadzą miarę wewnętrznych zalet jego:

Oj ty cerkwio — żałobnico,
Ty nieszczęsnych matko,
Wieczna w bolu męczennico
W wyżebranéj szacie!

Ukój troski — spojrz przed siebie:
Może łez i modłów,
Na niebiosa wzniesie ciebie
Z hymnem strasznym skargi.

Za najlepszy artykuł z kategorji dotychczas rozbieranéj uważalibyśmy umieszczoną w tym numerze korespondencję z nad Zbrucza, gdyby autor jéj trocha względniéj przedmiot swój traktował. Idzie tu o pisownię ruską i używane w niéj czcionki sławiańskie, zwane cyryliką, które wielu z Polaków radziby widzieć zmienioną na abecadło łacińskie. Autor wcale nie życzył rozstrzygać kwestji czy i o ile abecadło łacińskie przyspieszy postęp języka ruskiego, lecz się ogranicza na

udowodnieniu przez fakta historyczne, że tak zwaną hrazdankę czyli zaokrąglonych kształtów cyrylikę nie Rusini od Moskalów, jak zarzucali Polacy, lecz odwrotnie Moskale przyjęli od Rusinów. Powstanie téj hrazdanki bardzo trafnie wykazuje. Powiada, że ostry, podobny do gotyckich kształt liter cyryliki przez częste użycie w ciągu wieków całych sam przez się musiał ulegać zmianie i powoli się zaokrąglać; ci bowiem, którzy pisali, nie mogli dokładnie naśladować druku, lecz przez szybkość i dla skrócenia czasu musieli im nadawać formy zaokrąglone, pisemne; że przeto przypisywanie carowi Piotrowi Wielkiemu wynalazku hrazdanki jest błędem, że już w dokumentach z wieku XIV widać, że umiano podtenczas już zaokrąglać litery. A zdanie, jakoby Rusini przyjęli ową od Moskali, samo przez się upada, bo cywilizacja szła nie od wschodu na zachód a odwrotnie; literaturę i piśmiennictwo a za nim i czcionki przyjąć musieli Moskale z Rusi, bo tam już było wszystko gotowe.

Wszystko to dobrze, jednak w interesie prawdy musimy małą tu uwagę uczynić, tyczącą się wyłącznie samych czcionek, a mianowicie, że nie wszystkie litery umiano zaokrąglać nietylko w wieku XIV, ale znacznie nawet późniéj. Tak n. p. moglibyśmy wskazać na dokumenta Mazepińskie z początku XVIII wieku, a więc współczesną Piotrowi Wielkiemu, w których niektóre głoski taki sam kształt miały, jak za czasów Czernoryzca Chrobrego, pierwszego, który podał wiadomość o cyrylice i jakim po dziś dzień widzieć go można w księgach cerkiewnych na Rusi i u Sławian.

Zresztą artykuł dobrze napisany i słuszną nim dano odprawę tym, którzy niezbadawszy uprzednio stanu rzeczy dokładnie, występują publicznie ze zdaniami fałszywemi, wygłaszając takowe aż nazbyt apodyktycznie. Miano tu na myśli pewnego posła galicyjskiego, który powiedział w sejmie r. z.: „co się tyczy twierdzenia posła Kaczały, jakoby za czasów Rzeczypospolitéj pisownia w języku ruskim używana była taka jaką jest obecnie, to zmuszony jestem wprost temu zaprzeczyć: podówczas pisano pół składem a hrażdanka dopiero za Piotra Wielkiego stworzoną została.“

Już to w Galicyi nie grzeszą ludzie zbytnią znajomością języka ruskiego. Bardzo też słusznie utyskuje ten pierwzzy numer Prawdy na Radę szkólną krajową. Redakcja ruskich książek szkólnych odbywa się tak nieudolnie, że trudno przypuścić, aby się nie znalazł ani jeden kompetentny sędzia w téj wysokiéj instytucji krajowéj, któryby zwrócił jéj uwagę na złe ztąd wyniknąć mogące następstwa. Wypisy n. p. dla szkół gimnazjalnych, czyli tak zwana chrestomatja jest zbieraniną wszelkich piśmideł bez żadnego planu.

Jak dalece odbiegł język niniejszego numeru „Prawdy“ od klasycznych wzorów języka ukraińskiego, jakie są jego błędy, a jakie znów zalety, których stósunkowo do innych pism ruskich jest, mówiąc w nawiasie, bardzo sporo, wykazywać nie będziemy, odkładając to zadanie do czasu późniejszego i dla pism galicyjskich. Tu jeno nadmieniamy jeszcze słówko o pozostałéj treści numeru.

Miła opowiastka z Andersena: „Dziewczę z zapałkami,“ pióra już znanego czytelnikowi p. Hetmańca, prawdziwą jest ozdobą tych kilkudziesięciu kartek. Ta bosonoga w łachmanach dziewczynka szukająca napróżno w mroźny przeddzień Nowego roku kupców na kilka paczek siarników, które może całém były utrzymaniem rodziny, tak ślicznie a prosto odszkicowana, tyle wdzięczną mową odmalowana, że niewiadomo czemu się dziwić: czy że autor „Głosu do braci Sławian“ mógł opowiedzieć Andersena, czy że opowiadacz Andersena odważył się narazić na szwank swoje imię literackie pisząc „Głos.“

Artykuł przyrodniczy p. J.r Wierzchratskiego: „Z życia mrówek“ należy do rzędu tych prac popularnych, które chociaż wyczerpująco przedmiotu nie traktują, jednak zawsze są pożądane ze względu na doniosłość i znaczenie samego przedmiotu, którego znajomość zdoła rozproszyć mylne uprzedzenia w pojęciach moralnych i szkodliwe przesądy w gospodarstwie. Szkoda tylko, że autor nie powstrzymał się od swoich podmiotowych poglądów religijnych; treść byłaby interesowniejszą, gdyby w miejsce tego, więcéj obfitowała w przykłady i lepsze zestawienie faktów. Polityczne naprzykład urządzenie mrowisk i kwestja niewolnictwa całych poszczególnych gatunków mrówek wcale nie uwzględniona.

Opowieści p. Wł. Szaszkiewicza p t.: „Zemsta i wspaniałomyślność“ i dramata p. T. Zonewicza pod tyt.: „Bednarzówna“ dopiero początki umieszczono; sprawozdanie zaś towarzystwa „Proświty“ jest niezupełném i niewykończoném, — rozbiór więc tych artykułów i pogląd na nie obecnie jest niemożliwym.

Tak więc, sądząc bezwzględnie, nowopowstały organ ukraiński niezupełnie odpowiedział tyle powtarzanym wymogom partji swojéj i oczekiwaniom naszym. Pierwszy wszakże numer nie może przesądzać o dalszéj pracy i kierunku redakcji· dla tego z niecierpliwością czekamy następnych, tusząc, że po przełamaniu pierwszych trudności, jakie każdy początek nasuwa, samo stanowisko stronnictwa ukraińskiego i przyjazne okoliczności, w jakich się obecnie ono znajduje, dzielniejsze wytworzą siły i pchną na pewniejsze tory te, które dotychczas z pewną chwiejnością występowały. Tak jak dziś pismo to stoi, możemy je uważać tylko za próbę literacką z jednéj strony, a za manifestacją swéj żywotności w obec stronnictwa Sto-jurskiego — z drugiéj.

Jan Grzegorzewski.

TEATR.

Pozbawieni od dawna już wszelkich duchowych przyjemności, torturowani w uprzywilejowanych żydowsko-teutońskich kleszczach, jątrzeni codziennie przez domorosłych warchołów targujących się bezustannie choć bezużytecznie na narodową solidarność — ów jedyny, jak na dziś, port chroniący nas przed rozbiciem — oczekiwaliśmy z gorączkowém pragnieniem przybycia krakowskiego towarzystwa, którego rozgłośna sława dawała pewną rękojmię, że przy jego pomocy będziemy mogli ducha naszego odświeżyć i pokrzepić.

Nic więc dziwnego, że równo z pierwszém przedstawieniem codzienne nasze pisma wystąpiły z serdeczném powitaniem, do którego przyłączając się, dodajemy jeszcze: „goście tu jak najdłużéj.“

Tygodnik Wielkopolski. II.

Kilkakrotnie wykazywaliśmy na tém miejscu ważność stanowiska stałego teatru w Poznaniu i podawaliśmy plan prawidłowéj jego organizacji. Wołania nasze rozlegały się jak głos na puszczy, prócz bowiem częstych obietnic i zapowiedzi, komitet nasz teatralny nic faktycznego nie przedsięwziął.

Innym razem zastanowiemy się nad tą drażliwą kwestją obszerniéj — obecnie zaś wracamy do dziennego porządku.

Dotąd mieliśmy 5 przedstawień, które otworzono fragmentem Mickiewicza „Konfederaci Barscy“ — daléj dawano z kolei „Spazmy modne“ Wojciecha Bogusławskiego, „Sen nocy letniéj“ Shakspeara, następnie spektakl składany, do którego weszły: „Aktorka“

Fourniera, „Dzień świętéj Zofji“ Guilmenta i operetka Suppé'go „Piękna Galatea“, ostatni wieczór wypełniono konkursową komedją J. Narzymskiego „Pozytywni.“

Niepodobieństwem jest zastanawiać się szczegółowo nad każdą sztuką z osobna, tém bardziéj, że z „Konfederatów“, „Pozytywnych“ daliśmy już uprzednio w piśmie naszém wyczerpujące rozbiory. W przyszłości wybierać będziemy z tygodniowego repertoaru jedno lub dwa najważniejsze i najciekawsze przedstawienia do obszerniejszéj pogadanki, dziś zaś w celu poznajomienia naszych czytelników z siłami krakowskiego personału, ograniczymy się na ogólnéj expozycji.

Na czele kobiécego personału stoi tak zaszczytnie znana pani Antonina Hoffman. Występowała ona dotąd w trzech różnych charakterem rolach, dając tym sposobem wyobrażenie, jak obszerną jest skala jéj talentu, choć właściwym jéj fachem są role bohaterek tragicznych. Hrabina w Konfederatach i Modnicka w Spazmach modnych są dwa zupełnie różne charaktera; pierwsza poważna, głęboka i imponująca, druga lekka, płocha i spazmująca na zawołanie — pierwsza wymaga spokoju, psychicznych efektów, druga swobodnego roztargnienia, zwinności i komicznéj werwy — pani H. oddała obie te postacie tak umiejętnie, z takiem przejęciem się cechującemi role te momentami, że nie możemy jak tylko przyłączyć się do wyroku publiczności, która grzmotem oklasków przyjmowała artystkę. Inny zupełnie rodzaj zadania miała p. H. w roli Franciszki Dumesnil z komedji „Aktorka“, która to rola jest jéj popisową i z której, nie wahamy się powiedzieć, wywiązała się po mistrzowsku.

Pierwsze stanowisko w rzędzie męzkiego personału zajmuje były artysta teatrów warszawskich, obecnie reżyser krakowskiego towarzystwa, pan Józef Rychter. Widzieliśmy go dotąd w jednéj tylko roli Spaekarta, podnoszącego drobniuchny obrazek dramatyczny Guilmenta „Dzień świętéj Zofji“ do znaczenia uczuciowego arcydzieła. Artysta, który takiéj dokona rzeczy, który mały, łzami boleści napisany, a smakowi dzisiejszéj publiczności wręcz przeciwny utworek tak wysoko postawi, że ta zapomni, iż to nie ulubiony Sardou lub Offenbach do niéj przemawia, ale jakiś Guilment — artysta taki, powtarzamy, stoi wyżéj pochwał i oklasków, choćby się nawet nie nazywał Rychterem.

Obok téj dwójki poznaliśmy jeszcze kilka innych pierwszorzędnych sił do dramatu i komedji, jak n. p. panna Urbanowicz, która w rolach Lukrecji (Spazmy modne) i Matyldzie (Dzień św. Zofji) dała niezachwiane dowody rzadkiéj dystynkcji i salonowéj swobody, z którą się tak rzadko na scenie spotykać zwykło, obok tego posiada p. U. istotny talent do ról młodych i figlarnych chłopców, jak to przekonaliśmy się podziwiając jéj Puka w Śnie nocy letniéj. — W téjże saméj fantastycznéj komedji poznaliśmy pannę Kwiatyńską w bohaterskiéj roli Heleny, którą oddała z przejęciem się i miarą. P. K. przypomina z powierzchowności panią Modrzejewską i zbliża się do niéj rodzajem talentu, radzilibyśmy jednak p. K. wystrzegać się naśladownictwa, to bowiem będąc matką mierności, nie pozwoli jéj należycie i oryginalnie rozwinąć tych sił, jakie bezspornie dziś już posiada.

Prócz wymienionych posiada krakowskie towarzystwo wiele jeszcze innych świetnych talentów, których rodzaje i skalę przy sposobności bliżéj rozbierzemy.

Z sił należących do operetki na pierwszém miejscu stoją pani Dworzak, któréj czysty i donośny contrealt od pierwszego wystąpienia w roli Ganimeda (Galatea) zwrócił na siebie uwagę znawców, i panna Ćwiklińska, wcale dobra sopranistka, posiadająca dobrą szkołę.

Męzkie grono personału jest bardzo liczne i równie dobrze dobrane. Trudno jest wyliczać kolejno wszystkich, uczynimy to przy następnych recenzjach, dziś podnosimy tylko tych, którzy w dotychczasowych występach zwrócili na siebie najwięcéj uwagi, jak n. p. pan Szymański w roli generała z Konfederatów, p. Fiszer jako doktór z Konfederatów i Śpodek ze Snu nocy letniéj, p. Zamojski jako Dupuis w Aktorce i pełen wybornéj komiki Midas w Galatei — przedewszystkiém zaś p. Feliks Benda, wykwintny bohater scenicznych salonów i ulubieniec wszystkich publiczności, gdzie tylko występował.

Z tak nakreślonego założenia i zaznajomiwszy czytelników naszych na prowincji ze stanem czynnym goszczącego u nas teatru, przejdziemy w następnym numerze do rozbioru utworów i gry występujących artystów. Dziś zaś kończymy, życząc krakowskim gościom jak najlepszego powodzenia.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE o RZECZACH POLSKICH.

Bibliografja bieżąca:

— **Pieniążek, Czesław.** „O autorkach polskich a w szczególności o Sewerynie Duchińskiéj.“ (Kur. Pzn.)

— **„Plan miasta Lwowa“** wyszedł we Lwowie, nakładem K. Wilda.

— **Polkowski, X. Ign.** „Kopernikowie.“ (Wieniec.)

— **Roszkowski, Dr. Gustaw.** „O przywilejach i ceremonjach w świecie dyplomatycznym.“ (Świt.)

— **Schmitt, Henryk.** „Ksiądz Kołłątaj i jego prześladowcy“; szkic biograficzno-krytyczny. (Świt.)

— **Sienkiewicz, Henryk.** „Na Marne“; szkic powieściowy. (Wieniec.)

— **Skorowidz** dawnych i nowych nazw placów i ulic lwowskich. Lwów, nakładem K. Wilda.

— **„Sprawozdanie Rady Towarzystwa Historyczno-literackiego w Paryżu“**, z konkursu ogłoszonego w dniu 3go maja 1869 r. — odczytane na posiedzeniu publicznem Towarzystwa dnia 3 maja 1872. — W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego, pod zarządem J. Łakocińskiego.

— **Szujski, prof. Józef,** objaśnił i przygotował do druku „Trzy Dyaryusze sejmowe z roku 1548, 1553 i 1570“ wydane przez komisję historyczną Towarzystwa Naukowego w Krakowie.

— **Tarnowski, hr. Władysław** spolszczył z przekładu Herdera „Cyda“ według romancero hiszpańskiego. Pracę tę zamieszcza „Świt.“

— **Tatarkiewirz, Ksawery.** „Kartki z wycieczki na wieś.“ (Kłosy.)

— **Trembecki, Dr. O.** „Sprawozdanie o ruchu i postępie zakładu zdrojów leczniczych w Szczawnicy za rok 1871.“

— **Wiślicki, Adam.** Encyklopedji podręcznéj zeszyt siódmy: od „Bluefields“ do „Bubroma.“

— **Wojcicki, K. W.** „Ostatni klasyk.“ (Bibljoteka Warsz.) Obrawszy sobie osobistość Ludwika Osińskiego za ostatniego u nas przedstawiciela tak zwanego pseudoklasycyzmu w literaturze, autor kreśli nam obraz piśmiennictwa ówczesnego (1820—30) ze szczegółami pełnemi charakterystyki i ubarwia go wzmianką drobnych wypadków osobistych, mających jakiś związek z przedmiotem opowiadania. (Op. Dom.)

— **Zacharjasiewicz, Jan.** „Widoki familijne.“ (Gazeta polska.); — „Albina“, studjum powieściowe, z notatek autora. (Tyg. mód.)

— **Zakrzewski.** „Stosunki Stolicy Apostolskiéj z Iwanem Groźnym, carem i W. Księciem moskiewskim.“ (Przg. polski.)

— **Załęcki Witold.** „Rys statystyki porównawczéj miasta Warszawy.“ (Ekonom.)

— **„Złota książka czyli Nauka pokory prowadzącéj do doskonałości chrześciańskiéj“** — przekład z francuzkiego. — Warszawa.

— **Zieleniewski, Dr.** „Illustrowany opis zakładów zdrojowych w Galicji istniejących.“

* * *

— Pan **Stanisław Łubieński** przełożywszy z języka francuzkiego dzieło Jerzego Ville o Nawozach chemicznych, wyda je wkrótce swoim nakładem.

* * *

— W Kijowie drukuje się obecnie w litogr. Zawadzkiego dzieło treści naukowéj p. t. „Androna“ przez **Franciszka Olechnowicza.** Wkrótce także pójdzie pod prasę „Odgłos w Polesiu“ — zbiorek prac **Ejsmonta.**

* * *

Czasopisma:

— W Krąkowie wyszedł już pierwszy numer tygodnika kąpielowego p. t. **„Zdrojowisko.“**

* * *

— Od 1 lipca b. r. ma wychodzić zapowiadana już dawniéj **„Gazeta Płocka“**; — p. Zygmunt Zanożyński zamierza wydawać w Siedlcach **„Tygodnik Siedlecki.“**

* * *

— Wydawane w Liége pismo p. n. **„Między nami“** przestało wychodzić.

* * *

— W Zurychu, na ziemi szwajcarskiéj, wyszedł numer pierwszy pisma politycznego, mającego wychodzić dwa razy na miesiąc p. t. **„Głos Polski“**. — Przedsiębiorcom, braciom wygnańcom zasełamy serdeczne Szczęść Boże!

* * *

Odczyty i wykłady.

— W poznańskiém Stowarzyszeniu Drukarzy Polskich miał p. **Dr. Jarnatowski** przed dość licznie zebraną publicznością odczyt o mowie i językach. Dowodził prelegent w pierwszéj części odczytu, że różnicą między człowiekiem a zwierzęciem jest wprawdzie mowa, ale nie jako władza umysłowa tylko człowiekowi właściwa, lecz jako wynik wyższego rozwoju tych samych władz mózgowych, jakich i zwierzętom lubo w mniejszéj potędze odmówić nie możemy. W drugiéj części starał się wykazać, że pierwsi ludzie musieli być niemymi, i że wtenczas dopiero utworzyli rodzaj mowy, gdy ich potrzeba do tego zniewoliła; wywodził wszystkie dzisiajsze języki nie z jednego ale z kilku (wbrew twierdzeniu Darwina. przyp. Red.), twierdził, że wszystkie języki były pierwiastkowo narzeczami i że dopiero albo przez ujęcie pismem albo prawem silniejszego lub doskonalszego jeden język wziął górę nad drugiemi i stał się książkowym i naukowym. W ostatniéj części zastanowił się nad ilością i klasyfikacją języków dotąd nam znanych', przyczém uważał za konieczną zapuszczać się w gramatyczny rozbiór wyrazów. Cała rozprawa objaśnioną jest licznemi przykładami, prócz tego mapami granice języków uwydatniającemi.

— W Warszawie mówił p. **Podwysocki** o „Idealizmie i pozytywizmie“; — p. **Stanisław Sunderland** o „Subiektach handlowych ze stanowiska ekonomicznego; — **Dr. Kosmowski** o „Hygienicznem zachowaniu się w życiu“, o „Pielęgnowaniu dzieci“, o „Powietrzu jako warunku życia, o potrzebie odświeżania go w mieszkaniach; i o świetle ze stanowiska hygieny“; — p. **Eugenjusz Dziewulski** o „Elektryczności i jéj związku z innemi czynnikami natury“; — p. **Diksztajn** o „Powietrzu, świetle i cieple“; — p. **Grejnert** o „Poetyczności i znaczeniu podań sławiańskich, a w szczególności naszych w literaturze. — p. **Mścisław Godlewski** o „Spółecznem znaczeniu handlu;“ — p. **Maurycy Kamiński** o „początkowem nauczaniu religji, arytmetyki i geografji“; —

— W Krakowie **Stanisław Grudziński** o „przedrozbiorowéj Polsce“; — p. **Adam Asnyk** (El....y) o „Trubadurach.“ Prelegent skreśliwszy polityczne tło, na którem występuje poezja prowansalska i postacie Trubadurów, przedstawił pojedyńcze rodzaje téj poezji i wspomniał o najznakomitszych jéj reprezentantach; mówiąc zaś o ich utworach, odczytał kilka z nich ustępów w pięknem tłomaczeniu. (Kr.) — p. **Mateusz Gralewski** o „Ludach kaukazkich, o ostatnich latach ich niepodległości i o wpływie pobytu Polaków na Kaukazie. — „Dnia 3 maja p. **Rosenblatt** o „Konstytucji trzeciego maja.“

— We Lwowie Dr. **Tadeusz Zuliński** o „Wychowaniu i Oświacie“; — pani **Stefania Wechslerowa** o Wiktorze Hugo.

— W Kielcach miał p. **M. Gliszczyński** pierwszy odczyt publiczny. Wszystkich odczytów ma być sześć. Treścią dwóch pierwszych będzie biografja królowych polskich, w trzecim prelegent mówić ma „o żydówkach w salonach i literaturze niemieckiéj“, przedmiotem czwartego ma być „Marja Antoanetta i proces o naszyjnik“, wreszcie dwa ostatnie „O stanie naturalnym i wychowaniu człowieka“. (Op. Dom.)

* * *

Rozmaitości:

— Dnia 31go maja młodzież akademicka lwowska żegnała p. **W. Rapackiego**, utalentowanego artystę teatrów warszawskich, który rolą **Millera** w „Intrydze i Miłości“ zakończył szereg gościnnych wystąpień swoich na scenie lwowskiéj. Przy téj sposobności, otrzymał p. Rapacki w upominku od akademików pyszny wieniec laurowy — i wiersz, który tu przytaczamy:

Był mistrz w staréj Helladzie, pod którego razem
Głaz brany z gór Hymetu przestawał być głazem,
Który wcielał myśl boską w zimny łomu kawał,
Lub ludziom kształty bogów nieśmiertelnych dawał;
Pallas, bogini Aten świecąca im górą,
Była jego dziecięciem, myśli jego córą.
Myśl tak była potężną i boską zarazem,
Że Grek jakby przed bogiem korzył się przed głazem.
Ty bierzesz myśli ludzkie od pajęczyn letsze,
I czarodziejskiém słowem rzucasz je w powietrze,
Mierzysz się z ich potęgą ramieniem zuchwałém,
Aż myśl postać przybiera i staje się ciałem,
I z głębi ducha twego wcielona wytryska,
Jak piękna Afrodyta z pian morskich łożyska.
Piękna boską pięknością — od gromu ognistsza,
Porywa nas i wiedzie z pokłonem do Mistrza!

Szczerze przyklaskujemy myśli jaka natchnęła młodzież lwowską do uczczenia talentu i pracy w artyście — którego dziś już uważamy za jednę z głównych ozdób sceny narodowéj.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu. W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.